

AKT 8: Kucie Kos

26 grudnia 1268 roku
Ponyville

Zbliżała się Wigilia Serdeczności, lecz oprócz wszechobecnych przygotowań, należało pomyśleć o jeszcze jednej rzeczy. W przyszłym roku Znaczkowa Liga osiągała nobliwy wiek szesnastu wiosen i należało poważnie pomyśleć o ich przyszłości. Starsze klacze poczuły się zobowiązane zorganizować coś w rodzaju herbaty, na której szóstka reprezentantek Klejnotów Harmonii miała porozmawiać ze swoimi młodymi podopiecznymi. W końcu każda z powierniczek w tym roku skończyła dwadzieścia cztery lata, wiek też całkiem poważny. Twilight obroniła pracę magisterską i zamierzała otworzyć przewód doktorski, zatem uznała, że to ona powinna narzucić merytoryczny bieg dyskusji. Przygotowała cały stos ulotek, broszur i wykresów, które przysłała przez Spike'a dobre dwie godziny przed spotkaniem. Smok ledwo co przyniósł papiery, a potem pognął na pociąg, aby zdążyć do Canterlotu. Spotkanie miało zamknąć się w całkowicie kobiecym gronie.

Applejack została gospodynią i zaprosiła wszystkich do siebie. Uszykowała już duży, okrągły stół, trochę napojów i przekąsek, a także najważniejsze, a więc dziewięć dużych, wygodnych poduszek. Pamiętała nawet o tym, aby tę przeznaczoną dla Rarity podłożyć jeszcze jedną poduszką, w końcu projektantka miała delikatne... siedzenie. Po chwili namysłu farmerka tak samo polepszyła miejsce dla Sweetie Belle. Młoda całkowicie wdała się w siostrę i również ceniła wygodę.

Poprawiając kapelusz, wspięła się na piętro. Zatrzymała się przed lustrem i nieco krytycznie zlustrowała nakrycie głowy. Miało wiele lat i rant pogięt się niemożliwie, skóra poprzecierała i wyświechtała, a co najgorsze, istniały w nim liczne dziury zrobione nawet nie wiadomo kiedy. Nie chciała się z nim rozstawać, to była jedna z niewielu pamiątek po ojcu, lecz wychodziło na to, że należało podjąć jakieś radykalne kroki. Wysłuzony kapelusz winien wylądować w gablocie muzealnej izby pamięci rodziny Apple u stareńkiej ciotki Golden Delicious. A co zamiast niego? Cóż, to nie była chwila na podobne rozważania.

– Apple Bloom? Szykuj się, one zaraz tu będą! – zakrzyknęła.

Otworzyły się drzwi do pokoju i wyszła z nich cydrowa klacz wzrostu Applejack i o identycznych proporcjach kuca ziemskiego. Była jednak nieco szczuplejsza i posiadała truskawkowe włosy układające się w grubsze warstwy, których nie trzeba było wiązać żadnymi gumkami. Futro soczyście lśniło, świadcząc o zdrowiu i witalności młodej dziewczyny. Co jak co, była już dojrzałą, piękną kobietą, za którą na pewno oglądali się kawalerowie. Na szyi miała skromny łańcuszek z czerwoną jak krew kokardką wykonaną z jakiegoś malowanego metalu. Był to prezent od pewnego dżentelmena, który interesował się żywo młodą farmerką. Ta jednak wodziła go za nos, co nieco drażniło lubującą się w szczerości Applejack.

– Gdzie kokarda? – spytała pomarańczowa, a cydrowa zatrzepotała długimi rzęsami i odezwała się niskim głosem z leciutką szorstkością, ale za to pełnym pewnością siebie:

– Uznałam, że kokardy są dziecinne. Skoro dziś mamy gadać o naszej dorosłości, to nie mogę wyglądać jak jakiś dzieciak!

– Ja tam bym tylko ją zmniejszyła nieco, jakby mie ktoś pytał. Kokarda i ty to zawsze byłaś jednością, jakbym ja kapelusza pożalowała! Wyobrażasz sobie?

Apple Bloom musiała przyznać rację, gdyż po chwili wróciła z niewielką wstążką i szybko ją zawiązała w wiadomy supeł tuż za uchem. Wyglądała uroczo.

Applejack pokręciła głową i pociągnęła siostrę do lustra. Chwilę patrzyły na swoje odbicia, a potem starsza stanęła dęba, zapiała jak to miała w zwyczaju, a ostatecznie przytuliła młodszą.

– Jesteś taka jak ja! Dorosłaś! A pamiętam jako wczoraj, żeś była o, taka! – pokazała tutaj kopytem jakiś pułap tuż nad deskami podłogi, a Apple Bloom prychnęła.

– No bez przesady! Może ty taka kiedyś byłaś!

– Ale popatrz jeno! Ten sam wzrost! Ta sama budowa! Tylko ty jeszcze musisz krzepy, ciała nabrać! – nacisnęła biceps młodszej i zachichotała. Co jak co, ale faktycznie, Apple Bloom nie mogła się jeszcze równać siłą z pomarańczową.

W korytarzu pojawił się Big Macintosh, krótko obcięty i zakładający na siebie ciepłą kurtkę. Aby dać dziewczynom trochę prywatności wychodził nad jezioro pojeździć na łyżwach. On nic się nie zmienił, jak zresztą większość facetów po osiągnięciu pewnego wieku.

– Hej, brachu! – zakrzyknęła Applejack. – Weź no rzuć okiem na nas dwie! Jak dwie krople cydru, no prawie... ale listonosz był ten sam, co nie?

Ogier zarechotał, a potem tupiąc po schodach zszedł na dół i po chwili usłyszały trzaskające drzwi.

– Babcia! – jęknęła Apple Bloom i oderwała się od siostry, doskakując do próbującej wydostać się ze swojego pokoju starowinki. Już nawet balkonik nie pomagał i babcia trzęsała się jak osika, a każdy krok wymagał od niej dłuższego postoju. – Pan doktor zabronił ci wychodzić z łóżka, jak nie musisz!

– Co nie muszę! Co nie muszę! – zarzęziła. – Nie będzie mi żaden konował mówić, co mogę robić. Ja... jestem starsza od Ponyville... Ja sama tutaj przyszłam z MildWestu... na własnych nogach... kiedy was na świecie... ojej...

Ugięła się pod swoim ciężarem i gdyby nie interwencja wnuczki, wyłożyłaby się na podłodze. Applejack podeszła do babci i pokręciła głową.,

– Musisz na siebie uważać. W twoim wieku każdy rok to jak dla nas cztery lata!

– Pleciesz androny, moja ukochana wnuczko! Jeden rok to jeden rok i ani dnia dłużej! Jakoś stare dęby są mocne jak... dęby! To i ja będę...

Znowu się zachwiała, lecz tym razem złapała ją Applejack i zaprowadziła z powrotem do łóżka. Dziewczyna powiedziała, że będą na dole i niech zadzwoni przymocowanym koło poduszki dzwonkiem, jak będzie potrzebowała pomocy. A teraz obie siostry zeszły do jadalni.

W tej samej chwili zapukano do drzwi, delikatnie i z gracją, jakby nie były wykonane z drewna, a z kruchego szkła. No tak, wiadomo kto przyszedł.

– Czyżbyśmy przybyły pierwsze? Co za miła niespodzianka! – zaśpiewała Rarity, mrużąc oczy i zdejmując z siebie granatowo-szafirowy szalik. Obie siostry miały takie same, chabrowe płaszcze podszyte futrem i z licznymi dekoracjami w kształcie błyszczących klejnocików. Kopyta osłoniły wysokimi po brzuch, czarnymi i podobnymi do oficerek butami, być może pochodzącymi z jednej z zaprojektowanych dla wojska przez Rarity serii. Ich autorka szybkim zaklęciem rozczesała dwoje długie, proste włosy, które w jednej chwili zafalowały, spływając niczym granatowo-purpurowe morze na jej biały grzbiet. – Sweetie,

użycz mi, proszę, swego ramienia. Chciałabym zdjąć buty i nie nanieść śniegu do wnętrza. Widzę, że Applejack świeżo wysprzątała.

Siostra stanęła obok, podparła Rarity i sama zaczęła zielonymi zakłębieniami ściągać z siebie nauszniki, szal i płaszcz, które odesłała na wieszak. Posiadała bardzo długie, sięgające piersi loki, których zdecydowanie przybyło od czasów dzieciństwa. Szczególnie dużo dało się ich naliczyć na ogonie. Tusz do powiek miał kolor lawendowej grzywy, a rzęsy też wydłużała wzorem starszej siostry.

– Ojej! – otworzyła szerzej podkreślone wyrazistym dookolnym makijażem oczy. – Apple Bloom! Idealny, wprost doskonały pomysł, aby zastąpić tę wielką kokardę takim drobnym, ale cieszącym oko akcentem za uchem! To elegancko podkreśla twe truskawkowe włosy! Taka petite création...

Apple Bloom pokiwiała głową i przybiła z nią kopyto, co Sweetie Belle wykonała ledwo muskając przyjaciółkę, jakby bała się uszkodzić swe delikatne ciało.

– Wzięłaś harfę? Zagrasz nam coś?! Ło rany, ale wypasiony wieczór będzie! – uradowała się młoda farmerka patrząc na duży, schowany w zielonym futerale przedmiot, na którym złotą nicią wyszyto imię właścicielki.

– Och, miło, że tak doceniasz moje niewiele warte popisy – zaśmiała się Sweetie Belle, teraz sama wspierając się na Rarity i zzuwając buty. – To nowa harfa i jeszcze nie ma imienia. Stara okazała się dla mnie za mała... w końcu to była dziecięca zabawka, którą oddałam innej drobnej artystce w wieku szkolnym. Długo żegnałam się ze swoją przyjaciółką...

Westchnęła ostentacyjnie, a siostra ją przytuliła.

– No, ale teraz jesteś już poważną damą z dobrego domu i wypada, abyś posiadała instrument, który ci dorównuje. No i powinnaś też nieco uzupełnić swoją aparycję...

Spojrzała krytycznie, a Sweetie Belle przypomniała sobie, że nie mają na sobie żadnej biżuterii. Aktywowała róg i wyciągnęła z kieszeni płaszcza małą szkatułkę, w której spoczywała garść drobiazgów. Rarity wzięła sznur pereł na przednie lewe kopyto, a także dwa duże kolczyki w kształcie jej znaczkowych szafirków. Sweetie z kolei udekorowała swoją szyję złotym naszyjnikiem z błyszczącym słońcem, na którym widniała wygrawerowana wyraźna nuta. Zapewne był to prezent od samej Celestii. Obie wplotły sobie w grzywy i ogony białe, mieniające się diamencikami wstążki.

Były gotowe.

Z wdzięcznością zajęły specjalne poduszki, kiedy znowu zastukano do drzwi. Applejack wpuściła do środka zajęte rozmową Fluttershy i Twilight, obie dość szczerze zakryte puchowymi kurtkami z symbolicznie przyszytymi wełnianymi siodłami. Twilight rzuciła krótkie powitanie i kontynuowała jakiś wywód, którego pegazica słuchała z grzeczności. Czarodziejka jakiś czas temu zaczęła zastanawiać się nad zapuszczeniem grzywy i ogona. Grzywy do ziemi, a ogona do granic możliwości. Uznała, że skoro zdała tę całą magisterkę, to niech coś zmieni w swoim życiu. Chciała zatem póki co nie przycinać włosów i zobaczyć, jak to będzie.

Fluttershy z kolei postanowiła zapleść sobie warkoczyki, z którymi póki co się nie rozstawała. W jej wyglądzie najbardziej rzucała się w oczy złota wstążka na lewym skrzydle, znak pięknych zaręczyn. Na ogonie niestety musiała zostawić stare uczesanie, gdyż przy jej

miernych umiejętnościach lotniczych ogon stanowił podstawę sterowania w powietrzu. Rainbow Dash jakimś cudem potrafiła skręcać całym ciałem. Fluttershy nie.

Chwilę potem do domu bez dzwonienia wpadła Pinkie Pie, wyglądająca i zachowująca się jak zawsze. W ustach miała trąbkę, którą zahałasowała ogłuszająco, a potem rozsypała wokoło miliardy płatków konfetti.

– Wszystkie najlepszego z okazji szesnastych urodzin, których jeszcze nie macie! – wrzasnęła i skoczyła do Apple Bloom, którą bez pytania włądowała sobie na grzbiet. Zaczęła brykać po pokoju. Próbowwała to samo zrobić ze Sweetie Belle, ale młoda dama nakryła się ogonem, co jakoś dało do zrozumienia, że harfistka sobie tego nie życzy.

Różowy żywioł przerwał natarczywy dzwonek do drzwi, mogący konkurować z alarmem.

– Nie pali się! – syknęła Applejack i wpuściła do środka Scootaloo i Rainbow Dash, które wleciały niczym burza i zawisły pod sufitem, zakręciwszy elegancką ósemkę.

– Skrzydlaty dreamteam z Ponyville melduje się na rozkaz, pani generał! – zasalutowała przed Twilight, która spąsowiła. – Lider klucza Rainbow Dash...

– ...i jej skrzydłowa, Scootaloo! – dokończyła hardym i bardzo chropowatym głosem młodsza. Miała długie, śliwkowe włosy i bojowe spojrzenie. Lecz kiedy tylko ujrzała resztę Znaczkowej Ligi, natychmiast je porzuciła i skoczyła się przytulić do przyjaciółek jak dziecko.

Wszyscy zasiedli za stołem i zaczęli degustować przygotowane przez farmerki ciasta i herbatę. Szczególnym zainteresowaniem cieszył się biały sernik na zimno dzieła Apple Bloom, która udekorowała go małymi, lukrowymi kokardkami w kolorze swojej grzywy. Oczywiście lukier był truskawkowy.

Rozpoczęły od typowych rozmów o tym, co wydarzyło się ostatnio. Rainbow narzekała, że utknęła w brygadzie pogodowej Wonderbolts, czy jak to się teraz mówiło, w pierwszym pułku powietrznym. Nie miała nawet prawa wchodzić do samolotów, ale oczywiście czytała o nich wszystko i cieszyła oczy do granic możliwości. A jeszcze nie tak dawno temu gardziła wszystkim, co latało i nie było pegazem!

Twilight wiedziała, skąd te trudności. Księżniczka łudziła się, że wojna jednak nie wybuchnie i nie chciała skalać reprezentantek Klejnotów Harmonii wojną i wojskiem. Odwlekała do ostateczności moment, kiedy wdziałą mundury i chwycą karabiny. Cóż, może to szlachetne, ale w oczach Twilight skrajnie nierozsądne.

Sama pracowała teraz nad własnym zagadnieniem naukowym magii przyjaźni. Praca magisterska została wydana w formie popularyzującej zagadnienie i znajdowała się w wielu księgarniach, co przynosiło chwałę jej rodowi. Czarodziejka poważnie myślała nad otwarciem przewodu doktorskiego.

Pozostałe z klaczy nie zmieniły zbyt wiele w swych karierach, poza oczywistym ich pogłębieniem. Wtedy temat w końcu zszedł na trzy dziewczęta, które rozsiadły się obok siebie czekały, aż przyjaciółki nacieszą się sobą.

– No! Ale my tu gadu-gadu, a robota czeka! – powiedziała Twilight i uśmiechnęła się do Znaczkowej Ligi. Podesłała sobie pod nos cały stos prospektów, a wtedy Rainbow bezceremonialnie ryknęła śmiechem. Kopyta założyła na głowę, mierzwiąc swoją dużo krótszą niż przed laty grzywę.

– Haha! Chyba nie sądzisz, że ktoś będzie czytał te wypociny?! Mamy jedno popołudnie, a nie tysiąc lat na te nudy!

– To nie są nudy! A poza tym Scootaloo chętnie dowiedziała by się, kim może zostać w przyszłości...

– Ja... nie lubię czytać... – powiedziała nieśmiało śliwkowogrzywa dziewczyna. Twilight zadarła obrażalsko nos, więc Sweetie Belle postanowiła nieco ją ugłaskać:

– Ja chętnie zajrzę, choć wydaje mi się... że moja sytuacja jest już całkiem stabilna.

– Nie rozumiecie – stwierdziła Twilight. – Każda z was w tej chwili wykonuje pewną konkretną aktywność życiową. Ty, Sweetie, śpiewasz dla Celestii. Apple Bloom pracuje na farmie. Scootaloo zastępuje Rainbow Dash w kontroli miejskiej pogody, kiedy ta jest wzywana przez Wonderbolts.

– Zgadza się. Dlaczego zatem mamy zmieniać ten korzystny dla nas stan?

Czarodziejka aktywowała róg i chwyciła pierwszy z brzegu konspekt.

– Wiele kucyków wykonuje swoje zawody dlatego, że to zasugerował im znaczek. A wy znaczków wciąż nie macie.

To była smutna prawda, równie przygnębiająca jak „Scootaloo, Apple Bloom, jesteście sierotami!”. Dziewczęta popatrzyły po sobie i kiwnęły głowami. Pomimo skończonych piętnastu lat wciąż nie odkryły tego credo bycia kucykiem, co zakrawało już na pewne kalectwo lub chorobę. Nie pomagały wizyty u najlepszych lekarzy, które finansowały starsze opiekunki. Nikt nie potrafił wskazać innej przyczyny, niż „twój czas jeszcze nie nadszedł”. Po słyszeniu tego przez sześć lat można było dostać fiksum dyrdum.

– Sądysz zatem – zaczęła ostrożnie cydrowa – że powinniśmy zmienić coś w swoim życiu? Wtedy dostaniemy te kopane przez konie znaczki?

– To bardzo prawdopodobne.

– Ale przecież przez cały czas nam mówiłaś co innego! – zapaliła się Scootaloo. – Że mamy cierpliwie czekać, bla, bla, bla!

– Scootaloo, trochę ogłady! – powiedziała Rarity. – Twilight nie chciała wam powiedzieć, że macie teraz rzucać wasze kariery i na siłę szukać celu. To spotkanie ma wam jedynie podpowiedzieć kilka możliwych dróg. Dróg do rozważenia!

– Tak – dodała cichutko Fluttershy. – Zauważcie, że od czasu podobnej rozmowy minęło wiele lat. Teraz jesteście o wiele mądrzejsze i może jak ujrzyecie propozycję, to coś z niej wyczytacie.

Zapadła chwilowa cisza. Młoda pegazica siorbała głośno cydr. Sweetie patrzyła na to z politowaniem i delektowała się drobnymi łykami. Dopiero od niedawna mogły kosztować tego szlachetnego trunku, a i teraz otrzymały rozwodnione, małe porcje. Co jak co, ale kucyki miały naprawdę słabe głowy i choć nie do końca wiedziały co w tym całym cydrze jest, to im poprawiało nastrój, a potem krzywo chodziły po większej ilości.

Apple Bloom wypila swoją szklankę na jeden raz, a Applejack zachichotała i walnęła siostrę w plecy.

– A to zuch! Wyzerowałaś od razu!

– Szkoda, wtedy jest picia jakby mniej – stwierdziła Pinkie Pie. Twilight osuszyła szklankę do połowy i rozpoczęła nowy temat:

– Wojna pewnie kiedyś wybuchnie i kiedyś się skończy. O niej może nie mówmy, bo nie wiemy, jakie plany wobec nas wszystkich mają księżniczki. Sądzę, że wiele się zmieniło od czasu tamtej naszej starej przysięgi w ogrodzie. Jestem też pewna, że Pani Dnia pamięta o Sweetie Belle i jej przyjaciółkach, więc wy też spodziewajcie się uwagi.

– Się wie! – odpowiedziała Scootaloo, żonglując już teraz pustą szklanką. – Jednak co jak co, ale ja będę robiła to, co mi każą. Chcę być jak Rainbow! Zawsze wierna i lojalna!

Applejack zarumieniała się, aby nie wystrzelić brutalną prawdą, że z tą lojalnością u Rainbow to różnie bywa. Powstrzymała się jednak i wróciła do tematu:

- To co chcecie robić po tym, jak ta cała awantura już się skończy?
- Ja mam plan! – zakrzyknęła pegazica. Szklanka poleciała w przestrzeń, lecz przed zagładą uratowała ją Sweetie Belle i jej zakłęcie. – Chcę wstąpić do Gwardii Dnia! Zostanę osobistą strażniczką księżniczki Celestii, dostanę biały mundur i będę w dechę!
- To istotnie dobry pomysł! – pochwaliła ją Twilight. – A ty, Sweetie Belle?
- Jestem absolutnie zachwycona moim aktualnym zajęciem. Kiedy skończę szkołę i co za tym idzie, zyskam nieco czasu, to chciałabym oprócz grania dla Celestii całkowicie oddać się karierze solistki. Już teraz otrzymuję pyszne recenzje!
- Moja mała artystka! – ucieszyła się Rarity i przytuliła siostrę. Apple Bloom wywalila język, jakby dostała nudności i stwierdziła:
- Ja nie chcę ruszać się z farmy. Tutaj jest mi dobrze, mam rodzinę, a nienawidzę podróżować. Po co na siłę szukać czegoś lepszego, jak jest wsio jak powinno być?
- Cieszę się – uśmiechnęła się Applejack i nieco zmarszczyła brwi. – Jak wiemy, babcia ma już swoje lata i każdego kolejnego ranka... będę szczerą...
- Szczerą reprezentantką Klejnotu Uczciwości! Ale super! – krzyknęła Pinkie.
- No tak, zawsze jestem szczerą. No więc... każdego ranka boję się, że babcia nie obudzi się razem ze mną. Dlatego byłoby tutaj strasznie pusto... jakby i ciebie zabrakło, młoda.

Chwilę patrzyły na buzujący w piecu ogień, który ogrzewał całe pomieszczenie. Istotnie, babcia była już niesamowicie stara i każda z nich, kiedy tylko pomyślała o niej, bała się nieuniknionego. Szczególnie, że póki co ród Apple nie miał specjalnych perspektyw na swoją kontynuację.

Żaden z ich rodów nie miał perspektyw – pomyślała Apple Bloom.

Fluttershy zaręczyła się z Big Makiem. Poza nią Rarity jako jedyna cieszyła się partnerem, który jednak w Ponyville pojawiał się rzadko. Twilight skupiona na nauce w ogóle o tych rzeczach nie myślała, Rainbow gardziła facetami, a Pinkie nie była chyba w stanie ogarnąć tematu związków i własnych żrebaków. Nikt też nie słyszał, aby Scootaloo kogoś miała na oku, a Sweetie Belle za radą siostry surowo selekcjonowała licznych adoratorów. W efekcie mogli ją wielbić tylko na dystans, aby nie przeszkadzać w pracy.

– Wojna... w ogniu wojny wykuwa się miłość – nieoczekiwanie Rarity zacytowała znanego poetę. To była prawda, która do wszystkich momentalnie dotarła. Tam, gdzie jest najgorzej, pojawiają się i najlepsze przygody. Nieszczęścia zbliżają do siebie.

Zatem... kogo one spotkają w tym pożarze, który mógł w każdej chwili ogarnąć kraj? Czy to one wyniosą go z płomieni, czy raczej odwrotnie? I jaki on będzie?

Rarity nie do końca była usatysfakcjonowana z aktualnego partnera. Wolałaby kogoś bardziej uduchowionego i artystycznie usposobionego. Twilight czasami w samotne noce marzyła o intelektualście, z którym mogłaby godzinami polemizować na mądre tematy. Pinkie wbrew pozorom rozumiała ideę związków, lecz po prostu nie знаła nikogo równie szalonego, jak ona. Rainbow Dash nie mogłaby żyć w cieniu kogoś silniejszego do siebie, a jakiegoś słabeusza sama nie potrafiłaby szanować. Applejack była zbyt skupiona na pracy, a Fluttershy... już znalazła i nie zamierzała w żaden sposób narzekać na swój wybór.

Ale nawet ona wiedziała, że wojenny los nie będzie jej się pytał o zdanie. Obawiała się, że zostanie zmuszona do zaakceptowania biegu wypadków, jaki zostanie jej przedstawiony.

– Sweetie Belle, mój brylanciku! – zachichotała Rarity. – Ile jeszcze każesz nam czekać na popis twoich możliwości? Dziewczyny nie miały okazji się tobą zachwycić od lat!

Dawna harfistka pokraśniałaby i zapewne rzuciła jakąś uwagę próbującą wytłumaczyć, że wcale nie jest dobra i w sumie to niewiele umie. To jednak nie była ta sama osoba, więc dziewczyna z dumą powstała i unosząc wysoko głowę podeszła do futerału. Wyjęła z niego piękną, pokrytą zieloną okładziną harfę. Rozmiary instrumentu przewyższały muzyka. Dodatkowymi zdobieniami były liczne, drobne szafiry wkomponowane tu i ówdzie. Na samym szczycie złote litery głosiły:

CUM MUSICA NON EST PASSIE

Dziewczyna szarpnęła kilka srebrnych strun, poprawiła sobie grzywę, a potem usiadła na przyzwanej magicznie poduszce. Jeszcze chwilę potrącała przypadkowe nuty, jakby witając się z instrumentem, a potem zagrała refleksyjnie, dźwiękami aż wylewającymi się sentymentami. Otworzyła usta i wysuwając nieco pyszczek, zaśpiewała nieskalanym sopranem:

Krążę wokół świecy, niczym ćma
Choć tak piękna, pełna przecież cnót
Spali mnie jedna, najdrobniejsza iskra
Nie dając w zamian żadnych słów

Ten taniec ma tylko jeden finał
Choć figur w nim nie zliczysz
Lecz każdy o tym zapomina
Że tak samo go zakończysz

Czy to tango, płomienne jak krew?
Czy walc, w którym liczy się gest?
Może polka, tu obrót pełen snów!
Albo ober... ech, nieważne już!

Choreografem jesteś ty, lecz co z parą?
Nie zgub kroku, bo ten blask przyciąga
Wystarczy jedną układu skazą...
By spłonąć w knocie jak oferma

Spójrz, jak tańczy płomień świecy
Jednak spojrzeć możesz jeden raz
Bo kiedy znów zwrócisz tam swe oczy
To wtedy będzie to już inny blask

Widzisz? Tańczę coraz bliżej ognia
Jakże trudno, żar osłabia mnie
Może byłam zwinna i dostojna
Już zahipnotyzowana spłonąć chcę

Zastygła i skłoniła głowę, przyjmując huragan tupania. Rainbow Dash zagwizdała i uniosła się w powietrze, a Rarity udała, że szlocha:

– Och, jakże wzruszająca i poruszająca pieśń o przemijaniu! To znana metafora, ale w twoim wykonaniu jakże świeża!

– Dziękuję wam serdecznie – powiedziała skromnie artystka. – Nie bez powodu wybrałam akurat ten utwór. Wszak... dziś się tutaj spotkałyśmy, aby jak najszerzej sobie uświadomić, jak bardzo się zestarzałyśmy!

Wszyscy wybuchli śmiechem.

Wszyscy oprócz Applejack, która ze smutkiem spojrzała ku górze schodów, gdzie znajdował się pokój Babci Smith. Faktycznie, czas mijał, to oczywiste! Ale miała wrażenie, że od tej chwili zacznie przyspieszać niczym pociąg.

27 grudnia 1268 roku

Sombrograd

Na najwyższym hełmie przykrytego grubą warstwą śniegu zamku Sombrogradu, na samym końcu iglicy zawieszono wielki, czerwony róg, który miał wszystkim w promieniu wielu kilometrów przypominać, kto aktualnie zasiada na tronie Ruskonii. Co ciekawe, oficjalnie takie słowo jak „tron” nie było używane i za podobne określenie groziły mandaty lub surowsze represje. Wszak tron oznaczał dominację jakiejś szczególnej grupy społecznej nad plebsem. W Sombrii przecież wszyscy byli równi, nie istniała własność prywatna i każdy żył tak samo.

No i Sombra na pewno nie tolerowałby żadnej elitarnej grupy obok siebie. Wybitna jednostka mogła istnieć tylko jedna.

Był zaskoczony, z jaką łatwością te stada poddały się jego woli. Słyszał, że Ruskonie zaakceptują nawet największego tyrana, o ile uznają go za swojego, a więc za władcę wywodzącego się z ich społeczeństwa. Nietrudno było otumanić tych barbarzyńców, że widzą przed sobą wcielenie jakiegoś króla sprzed wieków, który może będzie rządzić twardym kopytem, ale przecież kocha swoje żrebaczki! Jakże banalne zadanie! Wystarczyło kilku wpływowych wojskowych przekonać do wizji wielkiej wojny i transoceanicznego imperium, sprzedać informacje o lepszej broni, którą posiadały gryfy i którą Sombra pamiętał sprzed tysiąca lat. Natomiast masy otumanił swą mocą, którą potrafił wywierać wpływ nawet nie bezpośrednio. Poddali się bez wątpliwości, co w sumie nie było niczym dziwnym. Przed milenium Celestia wygnała z Equestrii tych, którzy nie zaakceptowali jej na tronie. Negatywne emocje nie mogą zostać uleczone przez czas i narodowe krzywdy bywają pielęgnowane przez stulecia. Nie trzeba było wielkiego wysiłku, aby je odkopać, podżywić i potem konsekwentnie podsycać. Tak powstał gniew, który w połączeniu z mocą czerwonego rogu dał Sombra niezachwiane poparcie i fanatyczne oddanie całego, kilkakrotnie liczniejszego od Equestriańczyków narodu.

Król, a obecnie imperator, nie był jednak głupcem. Wbrew temu, co mu zarzucała księżniczka, zdawał sobie sprawę z pewnych własnych ograniczeń, dla przykładu dyletanctwa w kwestiach wojskowości. Dlatego znalazł kilku takich wojskowych, którzy z radością ujrzeliby Celestię bez władzy albo nawet bez głowy.

– Towarzyszu Slither Gale, jesteście sami? Spodziewałem się liczniejszego grona.

Zielony pegaz o wyjątkowo wielkich skrzydłach, wiecznie niedogolonym, jakby szelmowskim obliczu i z charakterystyczną opaską na prawym oku spojrzał na siebie i westchnął.

– Towarzyszu imperatorze, generał White Fire jest w terenie i bawi się naszymi czołgami BT-7. Narzekał, że nie widzi dla nich przyszłości i nim wykonamy jakiś bardziej zdecydowany ruch, to czeka nas wymiana zabawek na nowsze.

Sombra parsknął na myśl, ile to będzie kosztowało wysiłku i pieniędzy. Te ostatnie teoretycznie nie były problemem, wszak przerzucanie środków z na przykład oświaty na zbrojenia było i tak codziennością, ale nie chciał póki co nadużywać możliwości produkcyjnych fabryk.

– A Iks? Gdzie jest szef NKWD?

– Właśnie idzie.

Do przystrojonej czerwoną draperią komnaty wkroczył modry kuc ziemski o dziwnie długiej szyi i prostym znakiem „X” na boku, lekko przysłoniętym przez zielony mundur. NKWD jako jedna z pierwszych służb otrzymała komplet sortów. Wszak Armia Czerwona, oficjalnie tak nazwana miesiąc temu, musiała wyglądać godnie i budzić dumę w obywatelach Sombrii. Dlatego wszystkim obiecano zielono-żółte, jakby oliwkowe uniformy, a NKWD powinno charakteryzować się niebieskimi czapkami. Co najważniejsze, pancerniacy również mieli mieć jakby niebieskie kombinezony. Błękit był drugim po czerwieni ulubionym kolorem generalissimusa.

NKWD znaczyło „Narodnyj komissariat wnutriennich diel Sombrii”, a więc „stadny komisariat spraw wewnętrznych Sombrii”. I choć formalnie zgodnie z nazwą podlegał pod Slithera, był to tylko zabieg dezinformacyjny dla wrogich wywiadów. W rzeczywistości stanowiło całkowicie niezależny komisariat z samodzielnym komisarzem.

Zielonooki Iks był na pewno obłąkany, gdyż nikt inny nie objąłby z taką radością stanowiska szefa tajnej policji, mającej wychwytywać ze społeczeństwa wrogów rewolucji, niepoprawnie myślących, intelektualistów, a także wszelkie elementy mogące zostać uznane za niebezpieczne, jak pegazy i jednorożce. Co więcej, Iks pracował na pełnych obrotach i niewiele spał, przez co więzienia zapełniały się bardzo szybko. Nie brakowało też ciał do zapełniania dołów kopanych po lasach, a funkcjonariuszy NKWD zawsze otaczała atmosfera strachu i śmierci. Przechodnie zmieniali stronę ulicy, widząc patrol.

Iks planował poszerzyć kompetencje NKWD i wprowadzić żołnierzy do wojska. Nowy urząd politruka miał kontrolować nie tylko działania, ale i myślenie w jednostkach, a specjalne oddziały za pomocą broni powinny motywować żołdatów do boju. Wszelkimi dostępnymi środkami. Iks nawet powiedział, że trzeba wielkiej odwagi, aby być tchórzem w Armii Czerwonej.

– Spóźniliście się, towarzyszu! – sarknął Sombra, rozsiadając się przy stole i zapalając fajkę. – Co was zatrzymało?

– Odebrałem interesujący meldunek o pierwszych dwóch miesiącach funkcjonowania gułagów.

– Gułagów? To nowa nazwa tych obozów?

Iks otworzył usta, ale inicjatywę przejął Slither, patrząc na niego nienawistnie swym jedynym okiem.

– Pozwolicie towarzyszu, ale gułagi to mój pomysł i moja działka! Nie dam nikomu odebrać własnych zasług. – nie czekając na reakcję enkawudzisty kontynuował bezpośrednio do przełożonego. – „Gułag” po staroruskońsku oznacza „miejsce

odosobnienie”. Uznałem to za adekwatne określenie obozu, w którym więźniowie są setki kilometrów od cywilizacji, daleko pośród lodów i karczują tajgę bądź wydobywają węgiel, aby jakoś spłacić swoje utrzymanie. Takie obozy funkcjonują trzy, a w ciągu miesiąca więźniowie zbudują kolejnych pięć. Do chwili wybuchu wojny chcę ich czterdzieści, a potem sto, aby mieć gdzie pomieścić jeńców.

– Wiem, towarzyszu, o co chodzi z obozami. Sam ci zasugerowałem, że potrzebujemy czegoś podobnego. Jestem pod wrażeniem twoich...

– Naszych! – odezwał się Iks. – Kto pilnuje tego burdelu? NKWD!

– To waszych, do kroćset! – zaklął Sombra. – Waszych osiągnięć. Chciałem jedynie dopytać o tę nazwę, która wydała mi się obca.

Odszedł od nich i popatrzył na rozpiętą na ścianie mapę. Cała Sombria zajmowała jedną szóstą znanego świata, gdyż składała się z trzech terytoriów i mnóstwa dobranych prowincji, które podbito właściwie bez żadnego wysiłku. Ruskonia, Polkonia i Kempucza. Żołnierze, surowce i pożywienie. O ile Ruskonia ze swoim śpiewnym akcentem była taka, jakiej się spodziewał, to zdumiała go kuriozalność mieszkańców Polkonii. Co więcej, dowiedział się, że Polkonie to nie do końca ci, o których czytał. Znane mu kucyki stanowiły grupę imigrantów, a rdzenni mieszkańcy wyglądali co najmniej niezwykle. To oczywiście nie pomogło im oprzeć się jego dominacji i wystarczyło teraz wpaść na dobry pomysł, jak wykorzystać niepowtarzalne polkońskie atuty.

Co ciekawe, ci przedwieczni autochtoni byli wyłącznie ziemscy, a imigranci składali się przede wszystkim ze stad pegazów. Poza nimi w całej Sombrii niewiele było jednorożców i pierzastych kucyków, ale jak dla Sombry i tak za dużo. Obawiał się tych ras, gdyż ich umiejętności mogły w nieoczekiwanym momencie pokrzyżować mu plany. Nie przyjmował też zapewnień Iksa, że odpowiednio rozbudowany terror wystarczy, aby trzymać ich za mordę. Nie, szczególnie nie Polkonie. Tamci, nieważne czy latający czy przyziemni, mieli w oczach wypisaną tak bezdenną nienawiść, że szczerze ich się obawiał, jako jedynej rzeczy na świecie. Oni wprost rodzili się z buntem wypisanym na twarzy, kochali to i nie szczędzili krwi, aby powstawać. W wolnej chwili zapoznał się z historią konfliktów między Ruskonią, a Polkonią i był załamany, jakież hart bojowy marnował się na wschodzie. Nie był pewien, czy dałby radę go ujarzmić i zmusić do wykonywania sombryjskich celów.

– Ponieważ nie ma z nami White Fire’a, nie mam wam zbyt wiele do powiedzenia – stwierdził Sombra i usiadł przy stole, na którym rozwinął ogromną mapę Equestrii, a potem kubkami zablokował jej możliwość samodzielnego zwijania. – Wchodzimy w jeden z ostatnich etapów przygotowań do inwazji. Stany etatowe dywizji strzeleckich osiągnęły już minimum, z którymi moglibyśmy uderzyć, teraz rekrutujemy rezerwę. Sądzę, że za dwa lata będziemy oglądać egzekucję księżniczek niczym spektakl w teatrze, ale z popcornem i cydrem w kopycie! – zaśmiał się złośliwie, a dym jego oczu zaczął ulatywać w niebo dwa razy szybciej. Iks słuźalczo zarechotał, ale Slither tylko uniósł kąćki warg, gdyż osobiście nie dbał o księżniczki i ich głowy. W sumie, to nawet chciałby jedną lub drugą wypróbować przed ich straceniem. Byłoby to pasjonujące doświadczenie, cenny egzemplarz w kolekcji wrażeń.

– Co ja mam do tego? – spytał Slither, chcąc jak najszybciej zerwać się z tego nudnego zebrania. Sombra spoważniał.

– Właśnie... wracamy do tego meldunku o gułagach, choć to bardziej kwestia dla towarzysza Iksa. Rozsądnym pomysłem komisarza spraw wewnętrznych było umieścić obozy tak daleko, że żaden kucyk nie ma szans po ucieczce dotrzeć do przychylniej mu

cywilizacji. Jednak słyszałem, że paru pegazom udało się zbiec do Gryffonii i tam naopowiadać jakiś bzdur o tym, że były źle traktowane! Że zmuszano je do niewolniczej, katorżniczej pracy. A to już wasza wina, Iks, żeście nie uporządkowali swego... burdelu, jak to malowniczo określiliście.

Iks z niebieskiego stał się czerwony, a potem zielony.

– Dopilnuję, aby tych te sabaki spotkała sprawiedliwość i długa noga rady stadnej...

– Liczę na to. Nie chcemy przecież, aby nasi pierzaści sympatycy nabrali jakichkolwiek wątpliwości, czy interesy z nami to słuszny układ.

Slither uniósł brwi pytająco.

– Czemu mieliby się czepiać? Dostają od nas w cholerę złota, które zresztą wydobywają więźniowie.

– Zapominacie, towarzyszu, że w Gryffonia to państwo demokratyczne i władze są wybierane w wyborach powszechnych, a żaden gryf nie postawi krzyżyka w kratce polityka, który angażuje się w kontakty z mocarstwem, które ma... dość surowe warunki dla więźniów. Masy są bardzo wrażliwe, a tak zwane „wolne media” mogą to wszystko przedstawić w fałszywym, ale paskudnym dla nas świetle. A to wszystko będzie wina tylko i wyłącznie tego, że towarzysz Iks nie upilnował kilku skrzydlaków. Jak to się stało? Czemu oni w ogóle zachowali zdolność lotu? Słyszałem, że skrzydła są podcinane. To był nawet wasz osobisty pomysł!

Iks przez chwilę nienawistnie spoglądał na Slithera, jakby w nim odszukując się przyczyny własnej niezręczności.

– Ja... mam tylko chaotyczne informacje, które sugerują, że jacyś strażnicy zostali przekupieni przemyconym wiadomo gdzie złotem i podcinanie było tylko udawane...

Powiedział za dużo i oczy generalissimusa rozbłyśły czerwienią, a dym wystrzelił w górę.

– To dopilnujcie, aby strażnicy byli nieprzekupni! – Sombra huknął kopytem w stół. – Jak dwudziestu przykładnie powiesicie za jaja, to inni dwa razy się zastanowią, czy przemycony przez kogoś w dupie złoty zegarek jest wart własnych jaj! Mam nadzieję, że własne jaja też wysoko wycenicie, abym nie musiał mieć wałacha w radzie!

Iks zbłądł, uzyskując jasnołazurowy kolor. Wódz uspokoił się i powiedział do Slithera.

– Jesteście w stanie zapewnić mi dość obozów, aby produkcja wzrosła trzykrotnie do końca zimy? Obawiam się, że produkcja nowego czołgu T-34 będzie większym wyzwaniem, niż sądzi ten durak, Urbanowicz, komisarz gospodarki.

– Gułagi to najtańsze fabryki, nie będzie problemem je dowolnie namnożyć.

– Znajdźcie siłę roboczą do nich?

Slither prychnął lekceważąco.

– Dajcie mi kucyka, a znajdę na niego paragraf.

27 grudnia 1268 roku

Canterlot

Nad wejściem do sali tronowej znajdował się złoty napis „Światło Cię żywi”. Księżniczka spodziewała się udzielać audiencji dzieciom dnia, a nie nocy, dlatego hasło było jak najbardziej poprawne. Podział na istoty nocy i dnia był prosty. Dzieci dnia żywiły się światłem, a stworzeniom mroku ono przeszkadzało.

Ironworker zdusił coś w sobie, wyprężył się, wypiął pierś i wkroczył do sali tronowej, idąc czerwonym dywanem prosto do tronu, na którym jaśniała Biała Pani. Przeczynał kłopoty, ale był zdeterminowany załatwić swoją sprawę. Nie ufał wszystkiemu, co ma skrzydła lub rogi, a tym bardziej, kiedy oba zjawiska występowały równocześnie. Wszyscy się zawsze wyśmiewali z jego obaw i nie wierzyli ponurym wróżbom, które rozsiewał.

Był podstarzałym ziemskim kucem z siwym wąsem. Pomimo swych lat nadal mógł uchodzić za siłacza, o czym świadczyła szeroka, beczkowata pierś. Nie wierzył magii i skrzydłom. Ufał tylko sile mięśni i przedsiębiorczości umysłu, zatem reprezentował typowego, ciężko pracującego konia pociągowego. W encyklopedii obok hasła „kuc ziemski” mogłoby znaleźć się jego zdjęcie.

Kroczył dumnie po dywanie, omiatając włosy swymi szczotkami pęcinyowymi. Na znaczku miał ciężki młot kowalski, błyszczący w słońcu. Nigdy nie podchodził do niego zbyt poważnie, woląc dostrzegać samo narzędzie, bez solarnej oprawy.

Sunwise stał obok księżniczki i odezwał się jako pierwszy:

– Ironworkerze z Maneville pod Manehattanem, jesteś właścicielem zakładów metalowych Ironware Company i przybyłeś do Canterlotu ukłonić się majestatowi dnia, a także złożyć skargę. Czy to ty?

Ironworker z trudem przełknął konieczność oddania pokłonu. Uczynił to i odpowiedział swym chrapliwym basem:

– Tak, to wszystko prawda.

– Jakaż to skarga zatem?

Ogier popatrzył na chudego jednorożca i splunął w myślach. Nienawidził tych rogatych nierobów z miękkim czołem. Z drugiej strony wolał rozmawiać z facetem niż znosić płaszczenie się przed zmutowaną kłaczą. Ach, jakby ten delikatesik tylko zszedł z tych swoich stopni i oberwał od niego w mordę... Przestałby być taki wymuskany i ważny.

– Maremacht zaanektował cały zapas mojej surówki, surowców i półproduktów! Ogołocił moje magazyny do czysta! Nic mi nie zostało! Mój zakład świeci pustkami! Zabrali wszystko, nawet rezerwy strategiczne!

– Czyżbyś nie otrzymał zapłaty? Maremacht niczego nie zabiera bez zadośćuczynienia w gotówce.

– No... zapłacili... – zmieszał się przedsiębiorca. – Ale na wolnym rynku uzyskałbym za ten towar dwa razy tyle! Co najmniej! Te pieniądze, które oni dali, są po prostu śmieszne!

Sunwise zakaszlał i przyzwał sobie znikąd jakiś zwój. Popatrzył na niego i powiedział:

– Według ustalonej odgórnie stawki Maremacht płaci równowartość dwóch i pół tysiąca bitów za standardową jednostkę sztab żelaznych będących półproduktem. To 115% średniej ceny uzyskiwanej na rynku, zawiera w sobie prognozowaną inflację oraz krótkotrwałe i niespodziewane wzrosty cen będące reperkusjami czynników trzecich. Czy otrzymałeś tę cenę?

– Ta... tak...

– Jeśli przewidywałeś uzyskanie aż dwukrotnej ceny ze sprzedaży, to musiałeś sprzedawać ją w sposób nie do końca legalny, ze szkodą dla firmy albo... – Sunwise zmruczył gniewnie oczy i spojrzał tak przeszywająco na postawnego ogiera, że ten się cofnął o krok – albo handlowałeś z Sombrią? Czyżbym się mylił?

– Nie handluję z Sombrią! Przestrzegam embarga! Jestem uczciwy!

– My też jesteśmy i otrzymałeś uczciwą stawkę, które gwarantuje ci bezpieczny zysk. Zatem twoja skarga powinna zostać rozpatrzona negatywnie.

Ironworker wpadł w popłoch wymieszany z gniewem. Miał ochotę wskoczyć na podwyższenie tronu i złoić szambelana do nieprzytomności, tak, aby ten pieprzony biały kołnierzyk nakrył się nogami! Nie mógł jednak, nie wyszedłby z tego pokoju żywy. Irytowało go też milczenie księżniczki. Chciał ją zmusić do skomentowania sytuacji, tylko ona miała prawo utrzyć nosa jednorożcowi.

– A moi pracownicy? A moje maszyny? Nie mogą stać bezczynnie, bo zgnuśnią i zardzewieją! Moja fabryka musi pracować, a została pozbawiona surowców!

– To nie ma... – zaczął Sunwise, ale Celestia chrząknęła i spojrzała na niego przyjaźnie.

– Dziękuję, szambelanie. Co produkuje twoja fabryka, drogi Ironworkerze?

– Klamry, sprzączki, części butów i ubrań, w tym sportowych.

– Czy masz przy sobie przykład własnej działalności?

Ogier się zmieszał i zdjął z siebie pas. Wtedy Celestia otoczyła go miodowym nimbem i przywołała przed same oczy. Popatrzyła z uśmiechem na wielką klamrę odlaną ze stali. Widniał na niej ziemski kuc dzierżący młot, a dookoła był napis „Iron Work, Iron Pony, Iron Money”.

– To twoje hasło rodowe?

– Nie, nie mam hasła rodowego. Sam je wymyśliłem. Pochodzę z rodziny bez głębszych tradycji.

– Rozumiem. Co o tym sądzisz, szambelanie? Wygląda na solidną i godną noszenia przez naszych żołnierzy.

– Zaiste, moja pani. Nie sposób doszukać się słabości.

– Ironworkerze! – powiedziała Celestia oficjalnym tonem, a ogier nadstawił ucha. – Twoja skarga została wysłuchana. Bezpodstawne są twoje pretensje dotyczące uzyskanego zadośćuczynienia. Jednakże słusznie martwisz się losem swego zakładu i pracowników. Dlatego chcę, aby twój zakład pracował dla Maremachtu, Luftmare i Maremarine. Będzie wykonywał metalowe elementy umundurowania i wyposażenia. Od klamr, przez zapięcia, aż po hełmy i manierki. Będziesz za to otrzymywał solidne, wojskowe wynagrodzenie.

Ironworker nie był do końca zadowolony. Praca dla wojska oznaczała częste kontrole i zakład pod lupą inspektorów, a tego sobie nie życzył.

– Czy muszę się zgodzić?

– Ironworkerze! – zaczęła Celestia nowym, dumnym tonem. – Jeśli zawiedziemy, niewiele zostanie z twojego zakładu. Armia Czerwona nie będzie zadawała pytań, anektując wszystko, paląc i zabijając. Możemy jednak uniknąć tego złowieszczonego scenariusza, jeśli się zjednoczymy i zaciśniemy pasa na parę lat. Będzie to bolesne, ale o wiele prostsze, niż późniejsza niewola.

– Nie... niewola?

– Zgadza się. Czerwona zaraza dotknie wszystkich i złoży nieuleczalną chorobą. Equestria przeistoczy się w żywe truchło, trawione gangreną. Nic nas wtedy już nie uratuje. – Puściła do niego oko i uśmiechnęła się. – Wiem, że sprzedajesz swój towar w sposób nie do końca legalny, aby uniknąć podatków. Pragnę jednak, abyś przystał na moją propozycję i od tej pory był tak uczciwy, jak to przed chwilą zadeklarowałeś. W ten sposób znacząco przysłużysz się krajowi i budowie jego obronności. Jeśli jednak dalej będziesz egoistą...

Jej oczy stały się zielone, a z rogu wystrzeliły chabrowo-zielone bąbelki w radioaktywnym odcieniu. Było ich tak dużo, że ułożyły się w kształt ekranu, na którym pojawił się zakład Ironworkera. Hale fabryczne płonęły, a wśród walących się budynków biegli spanikowani pracownicy. Za nimi jechał czołg z dużymi kołami i małą wieżą. Co jakiś czas strzelał, a grupka kucyków padała na ziemię. Dobiegali do nich żołnierze w rozwartych hełmach z czerwonymi rogami na przedzie. Wbijali im w grzbiety bagnety lub rozstrzeliwali. Wszędzie tryskała krew i rozlegały się wrzaski mordowanych.

– To... nie...

– Tak, to jest przyszłość. I ty możesz nas przed nią ocalić.

– Zrobię wszystko! Wszystko!

– Wróć zatem do siebie i przystań na moją propozycję. – Celestia zmrużyła oczy. – Póki nie jest jeszcze za późno!

Ogier wycofał się w pokłonach i wybiegł przerażony z sali. Sunwise odprowadził go wzrokiem jak daleko się dało, a potem zapytał księżniczki:

– Czy to było konieczne? Ten biedny, zadufany w sobie cwaniak nie zaśnie dziś w nocy.

– Było, mój wierny szambelanie. Nie każdego można naprowadzić na drogę serdeczności uśmiechem. Wobec niektórych trzeba być jeszcze bardziej szczerym.

Zamilkła na chwilę. Clopcero doniosła niedawno o nowej nazwie sombryjskich sił zbrojnych, stąd przyszło jej do głowy to paramedyczne określenie. Obawiała się jednak, że nie będzie ono ani trochę poetyckie, a po prostu boleśnie trafne.

2 lutego 1270 roku

Equestria, jak długa i szeroka, kuła miecze. Stukot młotów nasadzanych na kopyta brzmiał w dziesiątkach warsztatów płatnerskich, gdzie miecznicy ustawieni w kręgu dookoła kowadła uderzali doskonale zsynchronizowani ze sobą. Dzięki temu głównie nawet przez sekundę nie pozostawały niedotknięte.

Rogaci mistrzowie nadzorowali proces i dokonywali niezbędnych wykończeń. Niektóre sztuki broni miały trafić do wyjątkowych właścicieli, czyli najwyższych generałów, niezwykle bitnych wojowników i czarodziei, którzy mogli potrzebować na placu boju czegoś więcej niż kawałka stali, ostrego z jednej strony. Te miecze miały przejść do historii oręża.

Ta kuźnia nie znajdowała się w fabrykach masowego uzbrojenia, a w samym Canterlocie, gdzie już przed wiekami stworzono jedyny w swoim rodzaju cech płatnerzy, zajmujących się tworzeniem artefaktów. Wbrew wszelkim legendom i klechdom krążącym po świecie, wedle których jakoby w każdym wiejskim bajorze zatopiono skarb i magiczną włócznię, przedmiotów prawdziwie dotkniętych magią, ochrzczonych i być może mających coś w rodzaju załączka duszy, istniała znikoma ilość. To dlatego Klejnoty Harmonii stanowiły taki fenomen, to dlatego byle zaczarowany pierścionek kosztował majątek. Nie należy tutaj mylić owych artefaktów z jakimiś drobiazgami typu magiczne łyżki, które same mieszają herbatę lub innych przedmiotów codziennego użytku. Nie, tutaj chodzi o trwałe procesy, których moc nie osłabnie po upływie tysięcy lat od śmierci stwórcy, który zaśpiewał stosowną inkantację.

Ściany wymurowano na kształt ośmiokąta, lecz nie była to wieża, a głębokie podziemia. Trójwymiarowe i aksamitne cienie niczym pajęczyny wypełniały wszystkie

szczeliny między kamieniami, a światło pieców zalewało złotem spocone twarze dwóch kuców ziemskich i jednego jednorożca przy każdym z trzech kowadeł, które mieściły się w komnacie.

To była najpiękniejsza muzyka dla wielu z mieczników. Perkusyjna solówka dzwonieli młotów o płazy, huk miechów, a także syk sprzeciwu damasceńskiej stali, która nie chciała być hartowana w zimnej wodzie[1]. Zgrzyt kamieni szlifierskich i huk ognia w piecach wypełniały sobą przestrzeń na równi z niedającym się wytrzymać gorącem. Wszelako ci wszyscy mistrzowie spędzili wiele lat pod powierzchnią płatnerskiego upału i potrafili znieść nie takie wyzwania, które rzucał fach. Jednak czekała nagroda, a było nią stworzenie miecza, o którym śpiewać będą potomni i po wielu dekadach, kiedy każdy ze stwórców stanie się ledwie pyłem. Być może Canterlot kiedyś zamieni się w gruz, może księżniczki i w swej długowieczności w końcu zamkną oczy, aby otrzymać zasłużony odpoczynek. Jednak jeśli wtedy będzie istniał ktoś, czyje gardło zdoła wydusić choć jedno słowo, to legenda przetrwa.

A ta legenda była stara jak zasady, które ustalono na długo przed tym, nim urządzono tu piec, nim Canterlot zaprojektował zapomniany dziś architekt i nim narodziła się starsza z alicornich sióstr. Już wtedy odkryto, jak przetapiać żelazo i węgiel, jak je kształtować i jak nad nim śpiewać.

Przy każdym kowadle stał ktoś jeszcze. Nie był płatnerzem, ale zaklinaczem, i to wyspecjalizowanym w pewnej niezwykle delikatnej, eterycznej sztuce magicznej. Dwie kłaczki i jeden ogier. Nie bacząc na ciężki jak przeciwpożarowy koc zaduch śpiewali czysto i doskonale, dokładnie formując każdą głoskę, jakby to były namacalne figury. Słowa rozmywały się w melizmatycznych inkantacjach, a sopran mieszały z basem. One dawały lekkość i dźwięk, przysposabiały i przygotowywały metal na przyjęcie ostatniego składnika, czyli zaklętej siły. Mało kto już w Equestrii operował tym językiem, który pamiętały tylko księżniczki i mędrcy. Ta naturalna obrona czasowa nie pozwalała na rozejście się tajemnicy wśród ogółu. Ciężko operować sekretami, których się nie rozumie.

Ktoś mógłby zarzucić Equestrii, że wykorzystuje magię na polu walki, a niedawno przyjęte w Fillydelphi i Manehattanie ograniczenia stanowczo tego zabraniały. Jednak zakaz nie dotyczył magii biernej, która nie jest wykorzystywana bezpośrednio do walki.

Zaczarowany miecz nie strzelał błyskawicami lub czymś równie kuriozalnym we wroga. On przede wszystkim odmieniał właściciela, a to było już dozwolone. Wszak każdy kucyk miał w sobie magiczny pierwiastek, którego nie sposób wykluczyć.

Pieśń na chwilę się urwała, a mistrz ceremonii otarł pot z czoła i pociągnął ogonem za sznurek, który znajdował się przy drzwiach. Wtedy do pokoju weszła cudownej urody kłaczka, wysoka jak ogier, ale szczupła i zdecydowanie dostojna. Swoim magicznym rogiem podesłała pod samo kowadło długie na dwa metry drewniane pudło, które w świetle pieca zabłyszczało złotymi okuciami i poumieszczanymi tu i ówdzie rubinami. Z kowadła pochwyciła magicznie świeżo wykuty miecz i umieściła go w szkatule na jedwabnej poduszce, po czym bez słowa opuściła ośmiokątny, cylindryczny pokój.

Mistrz usiadł obok kowadła i odkręcił kran, a potem bez żadnych oporów wpakował sobie całą głowę pod zimną wodę. Otrząsnął się, rozchlapując dookoła mgiełkę z kropli i spojrzął na swego rogatego kolegę.

- Dobrze wyszło, jutro dodamy mu napisy. Co jeszcze dziś kujemy?
- Takie mocno zredukowane zamówienie, dość... wyjątkowe.
- Do diaska! Wszystko, co tutaj całujemy młotami jest wyjątkowe!

– Ale to będą cztery szable.
– Szable? I co z tego? Nie każdy generał jest szlachcicem i może posiadać miecz.
– Pozwól mi dokończyć, mester. Początkowo zamówienie dotyczyło sześciu sztuk broni, lecz potem zredukowano je do pięciu. Co ciekawe, wtedy pojawiły się na nim dwie pieczęcie! Jedna ze słońcem, a druga z księżycem i nocnymi plamami!

– Nie może być! Czyżby...
– Tak, mester. Nigdy wcześniej nie mieliśmy rozkazu od obu księżniczek równocześnie! To oczywiste, dla kogo powstaną te szable. Wskazują też na to zdobienia płazu na zastawie. Znaczkę i hasła są jednoznaczne.

Mistrz, nazywany z hestyjskiego mesterem, pomyślał chwilę. Nielatwe to zadanie wykuwać ostrza, które nie tylko przejdą do legendy, ale i zawisną u pasów tak wyjątkowych kłaczy. Stworzył w swoim życiu wiele mieczy, szabli, rapierów, a nawet grotów włóczy, ale jeszcze nigdy nie miał świadomości, że jego wyroby okażą się odważnikami na szalkach równowagi Equestrii. Mógł mieć tylko nadzieję, że stwórcy dadzą radę. Była ich w całym kraju zaledwie garstka, a tych wykształconych w zakresie zaklinania broni właśnie trzech i stali obok niego, z równą ciekawością przysłuchując się opisowi nowego zamówienia.

Ostrza dla pięciu niezwykłych kłaczy gminnego pochodzenia. Jedna miała przecież już swój miecz; nawet wiedział, kto go wykuł.

Historycy uwielbiali przerzucać się anegdotami, w których kowale raz przekuwali miecze w kosy, a potem, ku ogólnej, dumnej, aczkolwiek milczącej afirmacji, znowu wykuwali miecze. Celestia była bardzo ciekawa, jakie anegdoty powstaną po tym, jak skończy się gigantyczne dzieło błyskawicznego uzbrajania Equestrii w nowoczesną broń.

Jak Equestria długa i szeroka, we wszystkich wielkich miastach zakłady zbrojeniowe realizowały z pozoru nierealne marzenie księżniczek, aby w ciągu zaledwie paru lat przerzucić się z włóczy na karabiny maszynowe. Dzięki oddanemu prywatnemu skarbowi sióstr, to marzenia zaczęło uzyskiwać konkretne kształty i z lichego widma przybrało na wadze.

Trzy stocznie budowały dzień i noc kolosalne okręty, z czego w największej z nich w Manehattanie powstawał równolegle pancernik i lotniskowiec, najpotężniejsze na świecie. Codziennie w Pferdenstadt, Vanhoover i Canterlocie z hali fabrycznej wyjeżdżały nowe czołgi, czyli obiecujące Panzer IV. Pferdenstadt, Cloudsdale i Los Pegasus dostarczały samolotów. Ktoś mógłby spytać, czemu na północy, w kraju jednorożców ktoś wziął się za konstruowanie maszyn latających. Odpowiedź była prozaiczna, wszak stamtąd pochodził Dornier Flieger i to tam chciał nieco rozbudzić tradycję lotniczą, gdyż mimo wszystko kilka pegazów mieszkało w mieście-państwie. Tam znajdowały się zakłady Focke-Wulfa dostarczające myśliwce, a myśliwce to broń typowo defensywna.

Trudno było wskazać miasto, w którym nie produkowano chociażby elementów ekwipunku, samochodów, karabinów lub dział.

Zatem cały kraj rozbrzmiewał zgrzytem i hukiem taśm montażowych, gdzie tysiące kucyków spawały blachy, wykrajały w nich otwory, skręcały płyty, pokrywały antykorozyjną farbą i malowały na żółto. Szyto mundury, polerowano buty, wybijano guziki, a także dekorowano stroje dystynkcjami i symbolami państwowymi. Skręcano karabiny, przestrzeliwano je za fabryką i pakowano do skrzyń wraz z instrukcjami obsługi. Z pochylni

zjeżdżały kolejne U-Booty i niszczyciele, więc każde z miast stoczniovych żyło w atmosferze wiecznej uroczystości.

Dzień i noc. Pod okiem Luny także pracowano, a pod batutą Celestii zaczęto marzyć. Nie wygaszano ognia w piecach, nie usypiano maszyn i nie pozwalano zasychać farb na pędzlach. Nowym hymnem Equestrii okazał się jęk dokręcaniej śruby i trzask nitowania.

Nadchodziła wojna i nie można było jej przywitać zaspanym w łóżku.

18 marca 1270

Stocznia wojenna w Manehattanie

– Jest piękny niczym księżyc w pełni! – stwierdziła Luna, patrząc w dół z satysfakcją, która niemalże nie mieściła się w jej płucach. Księżniczka szczerze chciała śpiewać, skakać i krzyczeć, aby jakoś wyrazić swoją radość. Tylko powaga urzędu ją przed tym powstrzymywała. Stojąca obok Rarity nie miała jednak tej odpowiedzialności i całkiem żywiołowo galopowała w miejscu, przebierając kopytami z wielką prędkością.

– Piękny? Piękny?! – wydyszała, z trudem łapiąc oddech przez podniecenie. – Jest spektakularnie zachwycający i odbierający trzeźwość myślenia! To najwspanialsze, co stworzyły kucyki dotychczas!

Cieężko było polemizować z tą opinią.

Stały na galerijce widokowej największego suchego doku w Equestrii. Daleko w dole setki stoczniovców uwijały się wokół gigantycznego kadłuba. To miał być pancernik, którego sama obecność na oceanie zmusi wroga flotę do ucieczki i ocali któryś z portów przed atakiem.

Dwustupięćdziesięciometrowy kolos miał stylowy, wyciągnięty ku górze dziób, kojarzący się z jakimś dumnym ptakiem wodnym pracującym przez fale. Planowana wyporność pięćdziesięciu tysięcy ton pozwalała zamontować na nim cztery wieże artyleryjskie po dwa trzystuosiemdziesięcimilimetrowe działa, które olbrzymie suwnice właśnie zniżały do odpowiedniego poziomu. Oprócz nich okręt miał mieć szereg mniejszych kalibrów, upodabniając się do długiego jeża. Już istniał wypiętrzony w górę mostek, a także katapulty dla samolotów. Do tego kompletowano opancerzenie kadłuba i pokład, na którego przedzie zostawiono dużą, pustą przestrzeń na jakiś znak rozpoznawczy. Okręt w porównaniu z wszelką dotychczasową nautyką był tworem nie z tego świata. Wyróżniał się pośród niszczycieli i statków pasażerskich niczym Celestia pośród zwykłych kucyków.

Gigantyczny.

Ale nie przyciężki, dzięki swej smukłej sylwetce, takiej jak u księżniczki. Był niczym gigant ze świata pełnego harmonii i piękna. Jednakże należało też zdawać sobie sprawę z jego niszczycielskiej mocy. Dziesiątki dział, w tym osiem tych kolosalnych, wystarczyło, aby w pojedynkę zniszczyć wszystko, co spotkał na swojej drodze.

– To najpoważniejszy militarny wysiłek naszego kraju, wasza miłość! – stwierdził wielki majster, odpowiedzialny za zbudowanie okrętu. Ogier był przeciętnej budowy jednorożcem o długiej do połowy oczu grzywce, wystających przednich zębach i wielkich okularach. Na znaczku widniała kalka rysownicza wraz z kątomierzem, pasująca do jego zielonej sierści i kasztanowej grzywy.

– Jedyne, co żyje teraz w moim sercu – powiedziała księżniczka, uśmiechając się do niego – to duma. Mogłabym teraz wlecieć w przestrzeń na jej skrzydłach.

– Proszę mi wybaczyć żart, ale ja chętnie pożyczyłbym takie skrzydła! – zachichotali we trójkę, a potem wrócili do obserwacji budowy. – Byłoby łatwiej wtedy pokonywać dystans między rufą a dziobem. Między podkładem a kotłownią. W niektóre dni nóg nie czuję od biegania po schodach. To bydlę jest naprawdę gigantyczne!

– I dobrze. To największy okręt świata.

– Marzymy, aby ochrzcić go mianem „Księżniczka Luna”. Wrogowie na samo brzmienie tego imienia odpłyną za biegun, byleby nie znaleźć się w zasięgu jego dział!

Dobry nastrój Pani Nocy nagle prysł, jakby nigdy go nie było. Popatrzyła srogo na inżyniera, a ten podkulił ogon ze strachu i zaskoczenia. Nie rozumiał, czemu go nagle ukarano tym spojrzeniem, od którego lotry wyrażały skruchę, a nieprzyjaciele kapitulowali.

– Nie życzę sobie, aby nazywać broń moim imieniem – powiedziała tak zimno, że ich oddechy zmieniły się w parę. Rarity również nie pojmowała nagłego obniżenia nastrojów, dlatego cofnęła się o krok i czekała na rozwój wypadków.

– Moja pani... błagam... o... wybaczenie... – wyjąkał ogier.

– Nie chcę przejść do historii jako coś, co posłużyło do mordowania kucyków, nawet jeśli w słusznej sprawie.

Zachnęła się na tę myśl i musiała stłumić w sobie chęć splunięcia. Ona i zabijanie – to było gorsze od najstraszliwszego bólu. Być może nawet sroższe od tysiącletniego wygnania.

– Ale moja pani... czemu? – Majster prawie płakał, ale ciekawość i poczucie niesprawiedliwości kazały mu brnąć dalej. – Marynarze potrzebują... symbolu... dla którego... walczą. Twoje imię...

– Nie jest tym, dla czego mają walczyć. Nie dla mnie. Ja jestem tylko kucykiem, który na skutek nie zamawianego przez nikogo zbiegu okoliczności jest wyższy od pozostałych. Oni powinni walczyć dla tego! – wskazała ogonem swój znaczek, a inżynier podniósł się z klęczek i wybałuszył oczy.

– Nie rozumiem...

– Niech walczą dla księżycy. Wiesz po co? Aby ten księżyc był księżycem Equestrii. Niech walczą o to, aby noc przynosiła garść cudownych i fascynujących snów. By była zasłużoną nagrodą po pracowitym dniu, okazją do troski o miłość do swojej rodziny, beztroską sferą marzeń. Aby przynosiła błogość i piękno. Nie była źródłem strachu i lęku przed mrokiem. Nie była jedyną ucieczką przed okropieństwami i upokorzeniami dnia. Nie była czasem trwogi, kiedy nieznajomy u drzwi wieszczy zgubę. Nie sprzyjała narodzinom zła i okrucieństwa. Niech walczą o dobrą noc! To chyba wystarczający zajmujący symbol?

– W zupełności, wasza wysokość! – ogier dygotał, a Rarity popadła w zamyślenie. To, co właśnie powiedziała księżniczka całkowicie ją zaskoczyło swoją mądrością. Istotnie, noc mogła być czasem przynoszącym kojące dobro, ale także katorgą przerażenia. Czy faktycznie od nich zależało, jaka będzie w przyszłości?

– Namalujcie księżyc na podkładzie dziobowym – rozkazała księżniczka i zakreśliła łuk kopytem. – O! Taki duży! Biały na czarnym tle. To będzie znak rozpoznawczy dla lotnictwa i równocześnie chyba najlepszy symbol dla marynarzy. Czy jestem słuszna w swym stwierdzeniu?

– Całkowicie, moja pani! Wybacz mi moją nierozsądną propozycję!

Luna zatrzepała rzęsami i położyła kopyto na ramieniu inżyniera.

– Nie mam ci czego wybaczać. A teraz pozwól, ale wraz z powierniczką Klejnotu Szczodrości mamy jeszcze dziś wiele do zobaczenia. Rarity, gdzie jeszcze miałaś ochotę się udać?

– Do zakładów Fiselera. Rainbow Dash mnie prosiła, abym opowiedziała jej o nowych samolotach, szczególnie największych bombowcach i najszybszych myśliwcach.

– Ruszajmy zatem. Dzień nie jest nieskończony i za kilka godzin czeka mnie objęcie warty.

20 marca 1270

Zamek Gloomlore w Blackthorn

Półnia księżycy odbijała się w szklach masek przeciwigazowych, które na czas Akademii zawiesili sobie na piersiach. Przed księżniczką Luną mieli zakaz ukrywania własnego oblicza, czego zresztą nie pożąдали. Niewypowiedzianym zaszczytem dla każdego była możliwość stanięcia naprzeciwko niej i spojrzenie w jej atramentowe oczy. Chociaż raz. Potem mogli już umrzeć i dać się poszatковать wrogowi.

Każdy nosił na sobie czarny kombinezon spadochroniarski z licznymi kieszeniami, uchwytami do ekwipunku, a także z dwiema wyciętymi dziurami na ich nietoperze skrzydła. Pod dużym hełmem bez typowej equestriańskiej kryzy błyszczały oczy w ciemnych odcieniach bursztynu, purpury, szkarłatu, szmaragdu i ultramaryny. Cechą charakterystyczną były pionowe, ostre źrenice, które napawały strachem zarówno ich dziennych przyjaciół, jak i wszelkich wrogów. Nietokuce nie należały do stada, którego przedstawicieli można było spotkać na rynku pośledniego miasteczka. Tysiąc lat wygnania ich pani zepchnęły je na margines społeczny i absolutną alienację, przez co w niektórych krainach nie widziano nietoperzowych kucyków przez wieki, a podrasa podupadła, zmniejszając swoją liczebność do ledwie paru tysięcy.

Jednak wydarzenia sprzed siedmiu lat i spektakularny powrót księżniczki przy udziale powierniczek Elementów Harmonii pozwoliły im odzyskać splendor. Znowu poczuli się potrzebni, za co byli bezgranicznie, wręcz fanatycznie wdzięczni swej protektorce, która lubiła nazywać ich „swymi małymi dziećmi”. Tylko ona mogła tak ich określać. Gdyby ktoś inny spróbował, ku własnemu przerażeniu ujrzałby jeżącą się sierść na granatowych lub bursztynowych grzbietach i długie kły, zdolne wbić się w szyję większego od siebie kucyka. Nietokuce nie były zbyt rosłe, a w przeciwieństwie do na przykład Hestów, za to szczupłe i smukłe, jak prawdziwe nietoperze. W pojedynku na kopyta pewnie nie miałyby czym zabłysnąć, ale ich oczy niepospolicie radziły sobie w mroku. Dzięki starożytnym błogosławieństwom Pani Nocy, mogli czerpać z ułamka jej widzenia w ciemnościach, co czyniło z nich doskonałe wojska powietrznodesantowe, które spadają w nocy na wroga, korzystając z tego, że dobrze widzą.

Na hełmach naklejono po dwie kalkomanie, tożsame z Luftmare. Żelazny Księżyc po prawej, a Kokardę Serdeczności po lewej. Pagony i wszelkie dystynkcje posiadali zgaszone, czyli wyszyte ciemnoszarą nicią, a nie białą, jak u innych rodzajów wojsk. To pozwalało zmniejszyć ryzyko dostrzeżenia ich w mroku. Na nogawkach posiadali dużą naszywkę z krwawiącym księżycem, będącym symbolem ich jednostki. Należeli do 88. Dywizji Powietrznodesantowej „Bloodmoon”, zwanej też po ferdyjsku „Blutmond”. Ta nazwa była w pełni dezinformująca, gdyż te dwieście kucyków nie miało prawa być dywizją, a po drugie

taki oddział istniał jeden, a nie osiemdziesiąt osiem. Jednak wszelkie rozterki zostawiano już wrogowi.

Każdy żołnierz miał na grzbiecie, przy plecaku i awaryjnym spadochronie zawieszoną swoją „szturmgiwerę”, czyli nowoczesny karabinek szturmowy „StG 44”. Posiadane przez nich egzemplarze to absolutna nowinka techniczna Doktora. Ponieważ żołnierze narzekali, że Mausery słabo sprawują się w walkach na małym dystansie, a MP 40 na dużym, stworzono coś wyważonego. Nabój pośredni pozwalał prowadzić celny ogień na kilkaset metrów, a więc adekwatnie do celów spadochroniarskich, kiedy atakuje się z pewnej ograniczonej wysokości i jest potem zmuszonym do obrony ciasnych przestrzeni. Dosłownie paru żołnierzom zostawiono Mausery z lunetkami lub karabin maszynowy MG 42, a każdy posiadał także u pasa kaburę z Waltherem P38.

Niektórych mogłoby zastanowić zasadność masek przeciwgazowych. Póki co żadna ze stron nie sprawiała wrażenia, że zamierza użyć jakiejkolwiek broni gazowej, ale licho nie śpi. W dodatku szeroka maska z poprzecznymi wyżłobieniami, dużymi okularami i rurą od pochłaniacza potrafiła przerazić do szpiku kości, szczególnie jak w środku świeciły się oczy z pionowymi źrenicami, za nimi trzepotały nietoperze skrzydła, a z ust wystawały kły. Efekt psychologiczny był czasem ważniejszy od broni palnej.

Stali w równych plutonach, dzierżąc flagi zamocowane na długich włóczniach z oksydowanej stali i czarnego drewna. Na granatowych proporcach widniało godło jednostki, czyli krwawiący rogał księżyc. Jeden z kucyków trzymał sztandar będący kwadratem, na którym wyszyto ten sam księżyc, ale połączony czterema granatowo-białymi promieniami ze srebrnym obramowaniem. Widniało tu też hasło „IN NOMINE NOCTIS” oraz małe zaćmienia w narożnikach. Księżniczka Luna stała naprzeciwko sztandaru i patrzyła na pełnię księżyc, która oświeślała wszystkich na placu zamku Gloomlore. Woląaby przeprowadzić uroczystość złożenia przysięgi u siebie w pałacu, ale nocny dwór był tylko iluzją, którą stworzyły z siostrą jako prowizoryczne mieszkanie do czasu zbudowania czegoś bardziej konkretnego. Niewiele kucyków by się tam zmieściło.

– Czołem, kompania! – krzyknęła, wyprostowawszy się i spoglądając z góry na swych żołnierzy.

– CZOŁEM, KSIĘŻNICZKO! – huknęła szybka odpowiedź. Luna pokiwała głową z zadowoleniem.

– Czy słyszycie zew księżyc? Czy czujecie czar, którym was obdarza? Odpowiedzcie!

– TAK JEST!

– Zostaliście wybrani jako elitarna gwardia, która ma ochraniać noc. Będziecie tarczą dla gwieździstego nieba, mieczem, który ocali piękno snów. Dzięki wam noc dalej będzie nagrodą po pracowitym dniu, źródłem piękna i natchnienia; nie przeistoczy się w zagrożenie, źródło strachów i domenę okrucieństwa. Ocalcie noc Equestrii przed splugawieniem!

– KU CHWALE EQUESTRII!

– Poczet sztandarowy – wystąp!

Wraz z kucykiem niosącym sztandar wystąpiły też dwa inne, które zrobiły trzy kroki defiladowe, a potem już normalnie podeszły do księżniczki. Żółtookim oficerem dzierżącym godło był ktoś nieprzypadkowy, czyli jeden z pierwszych nietokucy, którego znalazła Luna tuż po swoim powrocie do Equestrii. Nazywał się Vampeye. Była wtedy jeszcze mocno osłabiona po transformacji z Nightmare Moon, miała fiołkową sierść, inną grzywę i nie odzyskała pełni wzrostu. Dużo czasu spędzała na przelotach wzdłuż kraju, próbując poznać

okolice, które kiedyś opuściła. W trakcie jednej z takich podróży znalazła w lesie nieopodal Canterlotu umierającego nastolatka z dwiema równoległymi ranami zadany mi nożem, ciągnącymi się od czoła przez oczy, twarz, aż do samych skrzydeł. Nie mogła znieść widoku tak odrażającej tragedii i zabrała dzieciaka na dwór, aby go uratować. Po hospitalizacji chłopak został przyjęty do gromadzącej się powoli małej społeczności nietokuców, która miała żyć u boku dworu nocy i służyć księżniczce, bronić jej i wspomagać radą. Potem poszedł do wojska, gdzie cierpliwie czekał na dzisiejszy dzień. Wyrósł na szarego, przystojnego pegaza, który miał włosy lekko sterczące, układające się w dwa pasma – jedno czarne, drugie ciemnobordowe, a na znaczku widniał czerwony półksiężyc. Po reformie ustanawiającej Luftmare został podporucznikiem, a aktualnie dotarł do szczebla kapitana. W jego żółtym spojrzeniu czaiła się pewna szalona groza, która niepokoiła księżniczkę od dnia, kiedy na własnym grzbiecie przyniosła go do szpitala. Nie obawiała się, że ją zdradzi, był w końcu fanatykiem. Ale nie chciała, aby niewinni ucierpieli z powodu jego manii.

– Do hymnu! – Odczekała chwilę i zaczęła zwrotkę, a już przy trzecim słowie męsko-damski chór nietokucy podjął za nią słowa, które były marszem osiemdziesiątej ósmej dywizji powietrznodesantowej:

Księżycowi ponad głową
Powierzam każdy sen
Służę mu całą mocą
Od dziś, aż po życia kres

Na mrocznych skrzydłach chwały
Wniosę się do samych gwiazd
Noc oczekuje ode mnie ofiary
Dla Equestrii i wszystkich ras

Księżyc mnie wzywa cały czas
Gwiazdy dźwięczą niczym śnieg
Oddając życie uchronię ich blask
I zawrócę dekadencji bieg

Na mrocznych skrzydłach chwały
Wniosę się do samych gwiazd
Noc oczekuje ode mnie ofiary
Dla Equestrii i wszystkich ras

O zmierzchu, północy i brzasku
Nie ma rzeczy, co mnie strwoży
A nawet w ciepłym słońca blasku
Walczę w imię pięknej nocy!

Na mrocznych skrzydłach chwały
Wniosę się do samych gwiazd
Noc oczekuje ode mnie ofiary

Dla Equestrii i wszystkich ras

Woń ciemności to mój dom
Pośród mroku jestem cieniem
Tak powstrzymam dołą złą
I nie zawiodę nocy w potrzebie

Na mrocznych skrzydłach chwały
Wniosę się do samych gwiazd
Noc oczekuje ode mnie ofiary
Dla Equestrii i wszystkich ras

Luna westchnęła ze wzruszenia. Miała ochotę uronić łzę, ale nie wypadało tego robić na oczach dwóch setek żołnierzy, którzy widzieli w niej czysty majestat. Teoretycznie we łzach nie było niczego złego, ale wołała się o tym przekonać przy mniej zobowiązującej okazji.

Porzuciła rozmyślenia i wróciła do ceremoniału.

– Do przysięgi!

Obie kompanie podniosły prawe kopyta do salutu. Oficer i dwójka szeregowców przy sztandarze popatrzyli w oczy księżniczce Lunie i zaczęli mówić pojedynczymi syczącymi zdaniem, a za nimi powtarzała reszta. Tekst przysięgi był prosty i bardzo treściwy:

– Ślubuję wiernie służyć ojczyźnie, bronić nocy, strzec jej tajemnic i nie dopuścić do jej profanacji. Będę tarczą i mieczem, siłą i głosem. Będę cieniem, gotowym oddać swe życie i wszystko, co mi drogie za noc, za sny i za ciemność, w której się zrodziłem i w której umrę. Ślubuję bezwzględne posłuszeństwo księżniczce Lunie, Pani Nocy, Opiekunce Snów, Powiernicze Sekretów Mroku. Tak mi dopomóż księżycu i wszystkie gwiazdy nad moją głową!

Zasalutowali i tupnęli kopytami, aż zadrżały mury zamku. Księżniczka kiwnęła głową i powiedziała:

– Od teraz jesteście Czarną Gwardią Nocy, moimi obrońcami. Wasza służba zaprowadzi was w miejsca odległe i bliskie, gdzie napotkacie śmiertelnych wrogów. Nadchodzi Czerwony Cień, który zniszczy wszystkie inne cienie. Nie dopuście do tego! Udzielę wam teraz trzech błogosławieństw, aby ułatwić to zadanie!

Klęknęła i pocałowała czule sztandar, jakby to była jej siostra. Na chwilę przywarła ustami do krwawiącego księżycy i kiedy się wyprostowała, na jej ustach została jedna, czerwona nitka, co wyglądało, jakby faktycznie miała rankę. Róg księżniczki rozbłysnął, a ze sztandaru wyleciało dwieście maleńkich cieni w kształcie księżycy. Każdy lewitował w stronę poszczególnych żołnierzy i zniknął w okolicach ich sierści. Popatrzyli na to nieco zdziwieni, ale potem uśmiechnęli się drapieżnie.

– Niech ten symbol nas jednoczy! Bo tylko walcząc wspólnie, lojalni i serdeczni wobec siebie mamy szansę! Pamiętajcie o księżycu w sercu i niech strzeże was od pokus zdrady i tchórzostwa! Baczość! Do nogi broń! Prezentuj broń!

Rozbrzmiały trzy huki. Pierwszy, kiedy sięgnęli po karabinki, tupiąc. Drugi, jak stuknęli kolbami o ziemię. Trzeci, gdy tupnęli przy wyciąganiu ich przed siebie. Luna sięgnęła do pochwy po swój miecz i za pomocą magii utrzymała go przed swoim nosem, gdzie wisiał sztywno w powietrzu. Uderzyła płazem o Sturmgewehry pocztu sztandarowego,

a potem przeszła wzdłuż szeregów i pobłogosławiła z osobna każdy karabin. Mijani żołnierze spoglądali na nią z bezgranicznym uwielbieniem i uśmiechali się, napelniani mocą. Nie mogli nasycić oczu widokiem swej protektorki.

Swej matki?

Czy to dobre określenie?

W końcu przyprowadziła ich z mroków zapomnienia i księżycowym światłem rozświetliła diaspore!

Ale czy mimo to „matka” to nie za duże słowo?

Luna wróciła na miejsce, schowała miecz i zakrzyknęła:

– Niech wasza broń chroni was, waszych braci i siostry, a także całą Equestrię. Róbcie z niej mądry użytek i nie rańcie wtedy, kiedy nie jest to konieczne. Niech dobrze wam służy!

Zmieniła ton i rozkazała:

– Na ramię broń! W lewo zwrot! Prezentuj skrzydła!

Obrócili się i każdy rozpostarł swe błoniaste kończyny. Ponownie przeszła się wzdłuż szeregów, tym razem zahaczając nie mieczem, a swoimi skrzydłami i rogiem.

– Jesteście pegazami! – powiedziała, kiedy wróciła na miejsce. – Dumną rasą, nie lękającą się wyżyn, prędkości, podróży i przygód. Niech wasze skrzydła niosą was wiernie wszędzie tam, gdzie będziecie potrzebni, aby bronić Equestrii. Niech moje trzy czary dadzą wam zwycięstwo! Poczet sztandarowy – wstąp!

Kiedy szereg został uzupełniony, każdy z żołnierzy trząsł się z niecierpliwości, kiedy dostanie okazję do sprawdzenia swoich umiejętności. O Sombryjczykach słyszeli pojedyncze bzdury, że niby piją krew i gwałcą klacze. To było ciężkie do uwierzenia, gdyż nie posiadali kłów, a gwałt był zbyt ohydny uczynek, aby kolorowy kucyk będący dzieckiem dnia się na to zdobył.

Ale oni...

...oni mieli kły.

Oni smakowali się w krwi i w mięsie, choć zwierzęcym.

Nie mogli już doczekać się spotkania z wrogiem, który za swój symbol wybrał właśnie kolor czerwony.

Luna też o tym wiedziała i ta świadomość była mocno niepokojąca. Mówiła o mądrości w walce, ale nie była gotowa założyć się o jakąkolwiek sumę, że te słowa interpretuje tak samo, jak dowolny z pionowożrenicowych nietokucy.

19 maja 1270 roku

Klaczki i Ogiery! Obywatelki i Obywatele! Towarzyszki i Towarzysze! Zwracam się do was jako reprezentant kraju i osoba bezgranicznie przejęta sytuacją Sombrii. Muszę przyznać z przykrością, że dni, w których przyszło nam żyć, nie są łatwe, nie są bezchmurne, a u naszych granic występują siły, które z egoistycznych powodów jeszcze dodatkowo utrudniają naszą egzystencję, nie pozwalając cieszyć się spokojem i dostatkiem. Można je zlekceważyć w myśl zasady, że mądrzejszy ustępuje głupszemu. Jednak z mojej perspektywy dostrzegam niebezpieczeństwo takiej strategii, gdyż lekceważenie oznacza przyzwolenie, a przyzwolenie to pierwszy krok do samozagłady.

W ciągu ostatnich lat polityka zagraniczna Equestrii uległa niepokojącej transformacji. Państwo dotychczas skupione na terrorze wyłącznie własnych terytoriów, od pewnego czasu rozszerza swoje upiorne wpływy na coraz większej powierzchni. Księstwa takie jak Pferdenstadt, Hestia, krainy MildWestu czy też Kryształowe Imperium już od wielu lat nie mogą powiedzieć o posiadaniu jakiegokolwiek autonomii. Celestia zagarnęła je i rzuciła na kolana, zmuszając do oddania haniebnego hołdu, który umożliwił Canterlotowi bezlitosny wyzysk mieszkańców podbitych ziem.

Z rosnącym niepokojem zauważam, że alicornie siostry coraz mocniej interesują się też naszym domem. To nie jest ponury żart. Ich zachłanne oczy zwróciły się też w stronę Sombrii, a ich wzrok bez trudu pokonuje góry i ocean. Ktoś mógłby ludzić się, że ten potężny akwen wodny jest dla nas skutecznym szansem obronnym, barierą nie do pokonania. Otóż w swej trosce o dobro kraju muszę go rozczarować. Tak nie jest i nie będzie.

Agresywna polityka Celestii i Luny ma wiele twarzy. Sztuczne ograniczenia w handlu, skazujące wielu naszych obywateli na niepotrzebne ubóstwo, gdyż nie są w stanie wykonywać własnej pracy. Nieuzasadnione kontrole na equestriańskich wodach terytorialnych, mające na celu zniechęcenie nas do podróżowania w tamte tereny. Aresztowania niewinnych osób, brutalne przesłuchania, tortury, długoletnie wyroki skazujące za brak wyrażenia poparcia dla alicornich sióstr. Rzucane pod nogi kłody na każdym szczeblu współpracy międzystadnej. Aż wreszcie, rosnąca liczba incydentów militarnych z udziałem Maremarine. To wszystko wywołuje w nas słuszny gniew i stawia pytanie: jak długo jeszcze mamy to tolerować?

Zastanawia też polityka zbrojeniowa Equestrii. To państwo w ciągu tysiącletnich rządów Celestii nigdy nie było nastawione na agresywną politykę zagraniczną, zadowolając się poskromieniem pewnych ziem wchodzących w skład państwa odbitego Discordowi. Jego armia była prymitywna, choć równocześnie niewyobrażalnie kosztowna, niewspółmiernie do reprezentowanego potencjału militarnego. Wynikało to z feudalnego ustroju hierarchizacji społecznej. Nierzadko całe wsie i miasta pracowały na przepelnione luksusami życie stanu szlacheckiego. W naszym państwie ciężko to sobie wyobrazić, jednak stada Equestrii zapewne chętnie opowiedziałyby o duszącym ich ucisku alicornów, burżuazji i arystokracji. To piekło na ziemi stworzyły alicornie siostry, gdyż podobny system idealnie wpasowuje się w ich zbrodniczą politykę, pozwala z łatwością kierować państwem policyjnym, a także upraszcza całą procedurę wyzysku obywateli i kradzież ich majątków.

I czy to przypadek, że ten tysiącletni system uległ nagłej transformacji? Czy powinniśmy zlekceważyć fakt, że Celestia z Luną rozpoczęły pierwsze od eonów reformy zbrojeniowe po tym, jak zadeklarowały powstanie Sombrii? Byłoby bezkresną naiwnością tak uczynić. Jestem pewien, widzę to i czuję każdym zmysłem, że te reformy są wymierzone przeciwko nam. Wystarczy postawić proste równanie. Wcześniej w tej części świata istniały dwa mocarstwa, to jest Equestria i Gryffonia. Jednak kiedy pojawiliśmy się my, jako jedyny konkurent w postaci państwa kucyków, Equestria nie umiała tego przełknąć. Oczekiwaliśmy sportowej rywalizacji, szlachetnego współzawodnictwa, braterstwa gatunkowego. Zamiast niej dotknęła nas zawiść, egoizm i skrajna arogancja. Obawiam się, że to dopiero początek tej symfonii nienawiści. To dopiero uwertura, a po zerknięciu w libretto dostrzeżemy coś, co nas zszokuje.

Dlatego ja nie będę czekał bezradnie na rozwój wypadków. Ślubuję tu przed wami, przed stadem, państwem i wszystkimi jego krainami! Nasza cierpliwość ma swoje granice. W Sombrii nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę, gdyż znamy wartość honoru. Jeśli Equestria dalej będzie się tak nierozsądnie zachowywać, ukarzymy ją z pełnym przekonaniem o słuszności tego ruchu! Nie będziemy beczynnie czekać na przeprosiny, których nie spodziewam się nigdy usłyszeć.

Równocześnie żał mi niewinnych kucykowych istnień, które muszą służyć zbrodniczemu systemowi. To na nich spadnie nasza kara w pierwszej kolejności. Chciałbym ich ocalić. Zdaję sobie

sprawę z trudnej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Służąc w Maremachcie, Maremarine lub Luftmare zostawili swoje rodziny jako zakładników dwóch morderczych alicornów. Jednak ja składam im propozycję! Jeszcze nie jest za późno! Jest was wielu, jesteście silni i mądrzy. Unieście swoje kopyta w geście buntu i niezadowolenia! Sprzeciwcie się ciemnościom o skrzydłach i rogach, nienaturalnym twórcom czarnej magii. Ocalicie swoje życia, a my wam pomożemy w wyzwoleniu waszego kraju. Zrzućcie jarzmo! Jeszcze nie jest za późno! Nie jesteście sami, gdyż macie nas, swoich przyjaciół, którzy nie zostawią was w potrzebie. Dajcie nam tylko znak, że jesteście na to zdecydowani.

Powtarzam, jeszcze nie jest za późno! Wierzymy w was!

Ta ulotka, przesłana przez Clopcero, nie napawała obu sióstr optymizmem. Sombra rozzuchwalała się coraz bardziej, więc rozsądek nakazywał spodziewać się rychłej eskalacji napięcia. Nie chciał przyjąć poselstwa dyplomatycznego, nie pozwalał na założenie ambasady.

Jakiś czas temu udało się dokonać wielkiego wysiłku w kwestii światowego pokoju. Do Fillydelphii przyjechały delegacje z Ichalii, Gryffonii i Francji. Cztery państwa podpisały konwencję fillydelphijską, która narzucała na nie pewne standardy w prowadzeniu działań wojennych. Odpowiednie obchodzenie się z jeńcami, ograniczenie okrucieństwa, a także najważniejszy punkt, czyli całkowity zakaz używania magii w celach bojowych. Uznano, że to zbyt niebezpieczna broń i nawet karabiny maszynowe i bomby nie mogą się z nią równać. Oczywiście dotyczyło to jedynie czynności, których bezpośrednim efektem było robienie krzywdy bliźniemu.

Wszyscy zgodnie przyznali, że to milowy krok w kierunku załagodzenia wszelkich napięć, jakie Sombria wywołała po obu stronach oceanu.

Tyle, że sama nie przysłała delegatów. Była jedną wielką niewiadomą, która w trakcie ewentualnego konfliktu mogła zachować się w sposób iście nieobliczalny, czego Celestia bardzo się obawiała. Komisarz spraw zagranicznych, odpowiednik equestriańskiego przewodnika przysłał jedynie pismo, w którym zaakceptował sposób prowadzenia wojny morskiej. Ponieważ nie był to normalny element protokołu, Celestia i Luna podpisały go w innym terminie w Manehattanie i umowa przeszła do historii jako konwencja manehattańska. Była rozsądna i zakazywała magii, strzelania do rozbitków, a także mądrze regulowała zachowanie statków handlowych państw neutralnych.

Wielka admirał Lighthouse słusznie jednak zauważyła, że Sombria na pewno nie wysłała pisma ze strachu przed Equestrią, a przed Gryffonią, która może i nie posiadała zbyt rozbudowanych sił lądowych, ale jej flota ilościowo przewyższała połączone ze sobą Equestrię i Sombrię.

– Mam tego dość, idę spać! – powiedziała Celestia i machnęła chwostem swojej siostrze na pożegnanie. Ta pokiwała głową i popatrzyła smutno na donos od Clopcero. Miała nadzieję, że klacz nie zdradzi jej chociażby zaniedbaniem. Nadchodzące czasy wymagały pełni poświęcenia wszystkich poddanych, od zwykłego chłopca, aż po arystokratów. Od szeregowców po generałów.

Od źrebiąt po nią samą.

